

Marta Rusek

Anna Pilch – czas jakby wciąż teraźniejszy

Profesor Anna Pilch, Ania, jak dane mi było do niej się zwracać, zostawiała swój ślad w każdym, kto miał okazję się z nią spotkać. Jawiła mi się i jawi wciąż jako osoba niepochwytna, która wymyka się statycznym, portretowym przedstawieniom czy opowieściom, dlatego moje wspomnienie przybiera formę migawkowych ujęć.

Poznałam Annę Pilch na przełomie tysiącleci. Wróciła już wówczas na stałe z dłuższego pobytu na uniwersytecie w Lille we Francji, przygotowywała habilitację. Widywałyśmy się na zebraniach Katedry Polonistycznej Edukacji Nauczycielskiej, gdzie przywitała nowych członków z przyjazną życzliwością. Właśnie taka była.

1.

Widzę Ją, jak wysiada z windy na ostatnim piętrze naszego Gołębnika i wiedziona wewnętrznym rytmem szybko idzie do swojego pokoju. Zmienia okulary, które także podtrzymują jej włosy, szuka kluczy w torebce, rozmawia przez telefon. Jest.

Zjawiała się energicznie, równie energicznie wychodziła, wkładała do bagażnika swego samochodu książki lub zabrane do sprawdzenia prace magisterskie i zdecydowanym ruchem zamykała klapę. Znikała. Jej przyjście napełniało przestrzeń intensywnością istnienia – właśnie tę intensywność, a może raczej wyodrębniającą wyrazistość bycia zatrzymałam w sobie. Tę charakterystyczną barwę głosu, dynamiczny krok, ekspresyjną mimikę, uśmiech lub uważne spojrzenie wybiegające naprzeciw, pośpiech, urwane zdania, puenty nieoczekiwane.

2.

Słyszę Ją, jak mówi oraz jak się śmieje. W prywatnych relacjach była typem opowiadacza. Potrafiła bawić anegdotą, przytaczała całe zdania, nieoczywiste zwroty, które odzierały mowę z banalności, wytrącały z rutyny języka, zmieniały widzenie świata. Miała dar naśladowania. Pamiętała trafne powiedzonka, humorystyczne stwierdzenia. Uchroniła od zapomnienia zabawny, dziecięcy, acz trafny zwrot, którym określił się kiedyś mój kilkuletni wówczas syn. Czasem używała tej frazy jak szyfru, po latach nasza wspólna znajoma przypomniała to powiedzonko – Ania nadała mu życie, bo słowa miały dla niej kolor, smak, ich znaczenia tworzyły nową przestrzeń w relacjach.

Nieobce jej były błyskotliwe riposty czy komentarze. I ten Jej głos z jego intensywną barwą... Nierzadko w Jej opowieściach wypłynął jakiś plastyczny obraz czy migawkowe wspomnienie,

np. z dzieciństwa o dziadku, historyku wykształconym przed wojną i dyrektorze szkoły, czy o tym, jak uczyła się prowadzić samochód m.in. na paryskich ulicach.

Lubiła się bawić anegdotą, lubiła się śmiać, ten śmiech uczył dystansu, który miała także do siebie. Kiedyś, już w czasach choroby, komentując jakieś wydarzenia, przesłała mem z uwagą: Tylko poczucie humoru może nas uratować.

Głos, sposób mówienia Ani przenikał także do jej tekstów pisanych. Tytuł jej ostatniej książki *O literaturze, sztuce i dydaktyce. Dialogi dawne i nowe* podkreśla żywioł mowy, a zarazem nastawienia na relację. W środku znajdziemy artykuł, który powstał – jak zaznaczyła – w oparciu o wcześniejszy wykład dla studentów polonistyki. Ten gest przetworzenia wersji mówionej w pisaną wydaje mi się znaczący. Napisane przez Nią artykuły podszyte są bowiem emocjonalnym ładunkiem Jej mowy, żywego słowa, indywidualnej dykcji. Gdy wykladała czy gdy wygłaszała referat, intonacją i rytmem wypowiedzi utrzymywała salę w uważnym napięciu słuchania. Pamiętam jej wystąpienia na różnych konferencjach. Cytowane frazy czy wersy wypowiadała tak, jakby je odkrywała na nowo dla siebie i dla słuchaczy, ważne stwierdzenia znacząco podkreślała. Do dziś brzmią mi w uszach powtarzane przez Nią na jednej z warszawskich konferencji początkowe słowa ze znanego wiersza Szymborskiej pt. *Vermeer*: „Dopóki ta dziewczyna...” i końcowe wersy tego tekstu: „Dopóty nie zasługuje Świat na koniec świata”. Czytając je wydobywała z nich sensy ukryte, rozbłysk poetyckiego ustanawiania istnienia. Dopóki – dopóty – te słowa dźwięczą teraz jak mantra.

3.

Czytam Jej teksty. Wiele znaczą już same tytuły, także, a może zwłaszcza, te zrazu nieoczywiste, np. tytuł recenzji z wystawy *Malować malarstwo* czy planowanej, ale nieskończonej książki *Pojedyncza mnogość*, do której inspiracji dostarczył Jej francuski filozof Jean-Luc Nancy.

Zatrzymam się przy słowie *mnożyć*, bo wyjątkowo trafnie określa także naukowe zainteresowania Profesor Pilch. Płynnie przechodziła bowiem od filmu do literatury i malarstwa, od krytyki do teorii, od literaturoznawstwa do dydaktyki i odwrotnie. Nie zważała na dyscypliny i podziały, nie była zazdrosna o tematy. Mówiła, że w nauce miejsca wystarczy dla wszystkich. Nie zajmowały Jej oczywiste zagadnienia – sprawy, które nie pobudzały Jej intelektualnie czy nie zatrzymywały emocjonalnie. Szukała czegoś więcej, ponad, poza. Nazwiska poetów, malarzy, filozofów, myślicieli, którzy ją inspirowali, którym zadawała pytania, można mnożyć. Jej naukowe poszukiwania zdaje się oświetlać fraza Herberta „we

mnie jest płomień który myśli”¹. Płomień taki dawał Jej badawczą wolność i niezależność. Zaintrygowana wierszem, obrazem, wypowiedzią, które rezonowały z nurtującymi ją pytaniami: o chaos świata i porządek, artystyczną formę dzieła, o doświadczenie egzystencji i doświadczenie sztuki, o umykanie sensu, tajemnicę, włączała te teksty w obszar swoich badań. W jej artykułach pojawiają się nieoczekiwane zderzenia czy zestawienia utworów i/lub obrazów, a słowem, które się bardzo często powtarza jest dialog. Nieobce były Jej też powroty, np. do inspiracji myślą Stefanii Zahorskiej, której poświęciła swoją pracę doktorską. Zahorska rozwinęła w Niej uważność patrzenia, odwagę łączenia różnych pól refleksji.

Czytanie literatury i malarstwa również rozumiała jako rodzaj dialogu, bliskiej rozmowy z dziełem, której warunkiem, a może raczej zaczynem, jest radość odkrywania. Wzorem czytelnika był dla Ani Czapski. Zastosowane przez Nią określenia: czynne uczestnictwo, twórcze czytanie, wydają się także celną autocharakterystyką, ale dla Niej stanowiły przede wszystkim postulat. W kształtowaniu takiej czytelniczej postawy wobec tekstów widziała przecież cel dydaktyki polonistycznej – zadanie humanisty.

4.

Pamiętam, że – mówiąc o edukacji – wspominała rodzinne tradycje, w tym pedagogiczne doświadczenia swej mamy. Ją samą cechowała ciekawość. Na egzaminach lub obronach słuchała zainteresowana nie tylko wiedzą, choć bardzo ceniła erudycję, ale jej indywidualnym przetworzeniem. Zadawała pytania, które zmuszały do odkrywania nowych punktów widzenia. Nieraz, dyżurując w sąsiednim pokoju, słyszałam szmer długich rozmów z seminarzystami. A w pisanych dla nich recenzjach zwracała uwagę na nowe, ważne rozpoznania, stając po stronie autora szukającego własnych odpowiedzi. Cieszyły ją dobre prace.

Otwarta na nowe, wyłapywała interesujące ją zjawiska, chętnie zbierała wypowiedzi czytelnicze czy filmowe – i sama się nimi dzieliła. Była ciekawa opinii innych zarówno wtedy, gdy chodziło o klasyczne czy niszowe pozycje, jak i teksty kultury popularnej.

Czasu zawsze wydawało Jej się za mało, jakby go chciała rozciągnąć. Dlatego nie sposób myśleć o Niej, nie uwzględniając Jej apetytu na życie, Jej tęsknoty za pełnią istnienia, która nie gasła w niej nawet w ostatnich trudnych latach.

Realizowała się w różnych, często niełatwych rolach, godziła troskę o ciężko chorą siostrę i o matkę z kierowaniem katedrą. Świadoma niewyraźnego – cudzą idiomatyczność poważała, swoją chroniła. Ważne było dla Niej istnienie w relacji, bo spojrzenie innych – jak pisała, interpretując wiersz Szymborskiej – utwierdza nas we własnym istnieniu². Otwarta

¹ Z. Herbert, *Wiersze zebrane*, oprac. R. Krynicki, Kraków 2008, s. 17.

² A. Pilch, *O literaturze, sztuce i dydaktyce. Dialogi dawne i nowe*, Kraków 2018, s. 109.

i ciekawa drugiego każdą relację traktowała indywidualnie. Toteż każdy z nas, Jej współpracowników, przyjaciół z Katedry, zapamięta Ją zapewne nieco inaczej. Zatrzyma w sobie inne historie, anegdoty, sytuacje czy powiedzenia. We mnie rozrasta się wdzięczność za Jej zdecydowaną a dyskretną pomoc udzieloną wówczas, gdy wsparcia potrzebowałam najbardziej. Ale też ożywa pamięć rozmów – zarówno tych istotnych, jak i błahych pogaduszek czy ulotnych ekscytacji, np. turniejami siatkówki.

Moja rozmowa z Profesor Anną Pilch wciąż trwa, choć przybrała inną formę. Ma miejsce, gdy spotykam się ze studentami, a oni po lekturze np. Jej tekstu *Zobaczyć opowiadanie obrazu* zaczynają inaczej patrzeć nie tylko na obraz Fragonarda *Skradziony pocałunek*, ale rozpoznają opowieści innych obrazów, wchodzi z nimi w dialog. Trwa, bo dzięki jej podpowiedzi widziałam kiedyś film Robena Ostlunda *Turysta*, potem wymienialiśmy się opiniami na temat jego innego filmu – *The Square*, a w mój odbiór jego najnowszego dzieła *W trójkącie* będzie wplecione także Jej spojrzenie na tego reżysera.

Zaczęta przed laty rozmowa wciąż trwa, bo czas przeszedł do Ani, do profesor Anny Pilch, tak bardzo nie pasuje.